

Spotkanie kolegów pierwszego rocznika WAM

Zadanie nie było łatwe, bo Koledzy po ukończeniu WAM-u zostali rozsiani po całym kraju. Poza tym większość zbliża się do osiemdziesiątki lub ją przekroczyła i niektórzy z żalem informowali, że ich stan zdrowia nie pozwala na podróż do Łodzi. W miarę poszukiwań, powiększała się także lista tych Kolegów, którzy odeszli przed nami do wieczności. Ze stu dwudziestu podchorążych i trzydziestu oficerów – felczerów zmarło ponad czterdziestu.

Przybyło trzydziestu kolegów, w tym kilku tych, którzy w różny sposób opuścili WAM i ukończyli studia na uczelni cywilnej (Andrzej Waniek, Jan Krzak, Jan Zambrzycki, Ludwik Korczyk, Wojtek Kierzkowski, Wojtek Naze, Tadeusz Bereżecki i niżej podpisany).

Przybywający mógł pobrać przywieszkę ze swoim imieniem i nazwiskiem oraz otrzymać duże zdjęcie sprzed lat (fot. 1), wykonane w czasie zaprawy porannej, na którym mógł odszukać siebie i rozpoznać innych, co dla niektórych było bardzo zabawne. „Nie do wiary” rozlegało się bardzo często. Każdy dostawał listę zmarłych Kolegów, a także fragmenty wybrane z mojej książki „Gdziekolwiek jesteś, doktorze”, przypominające pierwsze przeżycia z „czasów wamowskich”. Niektóre zostały przeze mnie odczytane, co uruchomiło lawinę emocji i wspomnień.

Traumy okresu rekruckiego

Od 1 sierpnia 1958 r. zaczął się okres rekrucki na WAM. Pierwsze dni były traumatyczne. Wszyscy „przeszli” przez fryzjera, który każdemu zostawił jedynie śladową ilość włosów na czubku głowy. Zniknęły piękne, bujne fryzury. Potem... pojechaliśmy samochodami do łaźni wojskowej. Wszyscy musieli rozebrać się do naga, zrobić paczkę ze swego ubrania cywilnego i wymyć się pod prysznicem. Czekaliśmy kilkanaście minut na przydział wojskowej odzieży, mundurów, butów, onuc. Widok ponad stu golasów, zgromadzonych w jednym miejscu, był chyba dla każdego szokujący. Wreszcie otrzymaliśmy umundurowanie, w rozmiarze rzadko pasującym, cuchnące okropnie naftaliną.

Weszliśmy więc do łaźni jednymi drzwiami jako cywile, a innymi wyszliśmy jako żołnierze i wracaliśmy już czwórkami w pożałowania godnym szyku.

Powrót do koszar był koszmary. Szliśmy w często niedopasowanych butach i mundurach oraz czapkach na głowach, niosąc w rękach tobołki ze swoimi cywilnymi ubraniami. Już w połowie drogi byliśmy spoceni niemiłosiernie.

Na samym początku wszystkich ustawiono w dwuszeręgu według wzrostu i podzielono na trzy plutony po czterdziestu podchorążych. Dziesięciu studentów farmacji weszło w skład plutonu drugiego.

Dwa miesiące szkolenia unitarnego, czyli rekruckiego, były bardzo trudnym okresem życia dla młodych ludzi. Już wtedy w wojsku istniała tzw. fala. Wybrani koledzy, którzy odbyli służbę zasadniczą, zostali mianowani dowódcami drużyn, bądź pomocnikami dowódców plutonów i zachowywali się tak, jak nauczyli się w wojsku. Robili nam dodatkowe musztry, pobudki w czasie ciszy nocnej, „lotnika” z łóżka, zarządzali sprzątanie korytarzy i ubikacji. A poza tym były głównie zbiorki i zbiórki, kilkadziesiąt razy na dzień. No i musztra.

Okres rekrucki zakończył się uroczystą przysięgą i przeniesieniem do koszar, zwanych także akademikami, przy ul. Źródłowej. Immatrykulacja miała miejsce w Domu Kultury na ul. Moniuszki 3 października 1958 r. Na uroczystość przybyliśmy ubrani w szewiotowe mundury, z eskulapami przypiętymi na patkach. Widzieliśmy pierwszy raz naszego rektora - prof. Mariana Garlickiego, wystrojonego w mundur generalski i dziekana - prof. Bolesława Gwoźdźcia, siedzących obok ministra obrony narodowej - gen. broni Mariana Spychalskiego i innych licznych oficjeli.

Wojsko śpiewa!

A potem zaczął się pierwszy rok akademicki, trudny rok. Było bardzo dużo zajęć z anatomii, fizyki, chemii organicznej, biologii, propedeutyki, języka obcego. Do tego dochodziły różnego rodzaju zajęcia wojskowe-teoretyczne i praktyczne, a także ideologiczne. Zafundowano nam wykłady z historii ruchu robotniczego, filozofii i ekonomii socjalizmu.

WAM była nową jednostką - zarówno w strukturze organizacyjnej wojska, jak i wśród wyższych uczelni w kraju. Stanowiła też swego rodzaju eksperyment, poligon doświadczalny w działaniach wychowawczych i kierowaniu tokiem życia ni to studentów, ni to żołnierzy. Zatrudniony personel dowódczy nie bardzo sobie radził z prowadzeniem tych młodych ludzi. Usiłowano nam narzucić dyscyplinę, taką z jednostek wojskowych, co napotykało na zdecydowany opór. Próby sił trwały od samego początku. Zaczęło się od mundurów. Pamiętacie szerokość nogawek spodni, zupełnie jak u marynarzy. Wyglądaliśmy w nich żałośnie lub śmiesznie - jak kto woli. Okoliczni krawcy mieli trochę więcej roboty i wkrótce szerokości naszych spodni były zgodne z ówczesną modą. Zostaliśmy za to ukarani nocnym alarmem.

Na wykłady medyczne lub wojskowe prowadzono nas w szyku. Szliśmy ulicami miasta w deszczu i błocie, to znów w skwarze i kurzu, na mrozie i w śnieżycy. I ciągle: „Wojsko śpiewa!” Było to uciążliwe i upokarzające. Po przyjściu do auli wykładowej, byliśmy

spoceni, zmęczeni i często kładliśmy się na ławkach. Nieraz wykład był przerywany stukotem spadającego ciała. Prof. Tadeusz Wasilewski, anatom, dziekan Wydziału Lekarskiego cywilnej Akademii Medycznej, wysyłał czasem woźnego, który kijem od szczotki, przez dziury pod schodami, budził śpiących.

Czwórkami - do aresztu

Powroty z wykładów medycznych nie zawsze były tak „szykowne”, bo znajdowaliśmy wyjścia z sal wykładowych, nieznane dowódcom i ci nieraz czekali przed głównym wyjściem na swoich podchorążych. Po jednym takim zdarzeniu, dowódca pierwszego plutonu zarządził karną musztrę, Pluton z pełnym oporządzeniem, z kbk w rękach, stawiał się przed budynkiem koszar. Rozpoczął się marsz czwórkami, co kilkanaście metrów krokiem defiladowym. Po pewnym czasie zdecydowaliśmy się na protest. Przy kolejnej komendzie: „Bacność! Na prawo patrz!” każdy szedł innym krokiem. Padło: „Pluton, na moją komendę - stój! Pierwsza czwórka po pięć dni aresztu i na koniec szyku!”. Przy kolejnym kroku defiladowym każdy także szedł inaczej, więc znów powtórzyła się komenda: „Pierwsza czwórka na koniec szyku i po pięć dni aresztu”.

Kiedy cztery czwórki dostały już karę, a sytuacja się nie zmieniła, kapitan zastosował nową taktykę. Zaczął zwalniać z musztry coraz to innych podchorążych, jakoby w nagrodę za dobre maszerowanie. Została garstka. Zarządzono dziesięć minut przerwy. Po niej, na kolejnej zbiórce, zgłosili się wszyscy, także ci zwolnieni. Dowódca nie pamiętał kogo zwolnił i nie był też pewny, komu dał areszt. Wtedy do akcji wkroczył politruk. Przerwał karną musztrę. Abyśmy nie czuli się zwycięzcami, pod jakimś pretekstem Wojtek Naze dostał pięć dni aresztu ścisłego.

Karę odsiadywało się w areszcie garnizonowym na ul. Brzeźnej, do którego zgłaszano się wieczorem po zajęciach, a wychodziło z niego rankiem. Przy karze aresztu ścisłego „siedziało” się cały dzień w małej celi: 2 m na 2,5 m, z taboretą przyśrubowaną do podłogi, aby nie można było się oprzeć o ścianę i z drewnianą pryczą, przymocowywaną na dzień do ściany. Tym razem zrobiliśmy małą demonstrację. Ułożyliśmy Wojtkę na drzwiach wyjętych z dyżurki i nieśliśmy go na nich do bramy wyjściowej, trzymając do góry i śpiewając „w mogile ciemnej śpi na wieki, ja pa pa pa pa ...” , w rytm marsza żałobnego Chopina.

Już wtedy rodziła się Solidarność!

ZOK - najgorszy z arsenału kar

Bardzo dużo czasu zajęło dowódcom zrozumienie odrębności studentów medycyny, mających inną mentalność, inteligencję, potrzeby, a przede wszystkim inne cele niż

żołnierze, którymi się uprzednio zajmowali. Niektórych to zupełnie przerastało. Oni mieli cały arsenał kar, którymi szafowano szczerze, uważając, że jest to doskonały środek wychowawczy. Najczęściej stosowaną był ZOK- zakaz opuszczania koszar, zwykle przez dwa tygodnie lub miesiąc. Oczywiście, z wpisaniem do akt.

Przepustki na wyjście „do miasta” miały ważność do godz. 21. Nic więc dziwnego, że kiedy nie można było oderwać ust od...., wracało się do koszar przez wysoki na dwa metry płot, ryzykując, że zostanie się złapanym przez wartownika, który za to dostawał kilka dni urlopu, zaś podchorąży mógł zostać wyrzucony do jednostki wojskowej na dwa lata, co niestety przydarzyło się kilku naszym kolegom.

Zbliżały się Święta Bożego Narodzenia 1958 r. i prawie każdy z podchorążych marzył o nich od wielu dni, cieszył się, że wreszcie po pięciu miesiącach nieustannego drylu wojskowego odpocznie w ciepłym rodzinnym i to przez dwanaście dni. Wigilia przypadała na środę, więc pierwszy od pięciu miesięcy urlop miał się rozpocząć od poprzedzającej soboty.

Na piątkowym wieczornym apelu dowódca Kursu ogłosił, że dziesięciu podchorążych (tu wyczytał ich nazwiska), za wielokrotne naruszanie dyscypliny wojskowej – długie włosy, wąskie spodnie, spóźnianie się na zbiórki – nie ma prawa do urlopu. Ponieważ stołówka żołnierska będzie zamknięta, otrzymają ekwiwalent w złotych. Pieniądze dostali w dniu następnym. Koszary całkowicie opustoszały.

Siedzieli z pieniędzmi, głodni, patrząc na padający obficie śnieg. Spojrzeli też na siebie, a Mrówka zawołał: „Marynarz idzie”. Zagrali w marynarza. Wylosowany zebrał pieniądze i powrócił z baterią butelek. Pili przez cały wieczór. Kiedy wszyscy byli już porządnie wstawieni, Święty wychylił całą butelkę bez odrywania ust i... padł. Nazajutrz przyszedł dowódca i sprawdził pokoje. Jak zobaczył Świętego, to wszystkim kazał iść do domu, byle tylko go zabrali ze sobą.

Anatomia według Całki

Zwolna, z upływem czasu zaczynaliśmy się przystosowywać, nie bez oporów, do wymagań dyscypliny wojskowej, tym bardziej, że nauka wypełniała nam większość czasu, a zajęcia w zakładach medycznych dostarczały także wielu emocji. Ilustruje to poniższy fragment z mojej książki:

„W majowy poranek 1960 r. dwie grupy z pierwszego plutonu zgłosiły się na egzamin z anatomii. Wszyscy byli bardzo zdenerwowani.

- Kurde – wzdychał Mrówka, patrząc na szkielet stojący w szklanej gablocie w korytarzu -

nic nie pamiętam. Nie mogę sobie przypomnieć żadnej kości.

- Nie przejmuj się – rezonował Wojtek Naze – kości zostały rzucone. Ich tam nie będzie. Ważniejsze u kogo będziemy zdawać. Najlepiej by było u Wasila, nie u Całki. Ten drugi był docentem w zakładzie, drugim po Bogu. Znany ze swojej złośliwości. Po godzinie czekania już wiedzieli – pytać będzie Całka, czyli Skapula.

Wiesiek wszedł razem z Kotkiem i Wojtkiem. Egzamin odbywał się przy porozcinanych na wszystkie sposoby zwłokach. Całka siedział na krześle i długą pęsetą wskazywał na jakiś narząd, o którym należało powiedzieć, jak najwięcej i odpowiedzieć na dodatkowe pytania. Wiesław odpowiadał pierwszy. Poszło dobrze. Kolej na Kotka. Wskaźnik Całki wyciągnął z wnętrza trupa jakiś twór.

- Co to? – padło pytanie. Cisza. Kotek ogląda to coś na wszystkie strony i nie pasuje mu do żadnego narządu w brzuchu.

- No co to? – ponaglał egzaminator, uśmiechając się szyderczo. Kotek nie wie. Podnosi błagalny wzrok na stojącego kilka metrów dalej asystenta, doktora Romualda Usajewicza i widzi, że ten wykonuje gest obraźliwy, polegający na zginaniu ręki drugą ręką, który znaczy najczęściej – „taki ch..”. Sekunda, dwie i... olśnienie.

- To ciało jamiste prącia, panie profesorze. To jest członek, członek męski! – woła z radością.

- A jakie członki żeńskie kolega zna?

Wszyscy się śmieją, atmosfera oczyszczona. Pada jakieś łatwe pytanie i Kotek też zdaje.

Wilcze bilety

Kiedy część wspomnieniowa się zakończyła, każdy po kolei uzyskał możliwość opowiedzenia o sobie. Koncentrowano się głównie na przebiegu pracy zawodowej. Niektórzy byli ordynatorami swoich oddziałów, inni piastowali ważne funkcje w wojskowej służbie zdrowia.

Kiedy przyszła kolej na mnie, opowiedziałem o tym, jakie były moje losy po odejściu z WAM, po czterech latach tam spędzonych. Mówiłem, jak z jeszcze dwoma Kolegami: Ludwikiem Korczykiem i Pawłem Tarnackim zjeździliśmy autostopem prawie całą Polskę w poszukiwaniu Akademii Medycznej, która chciałaby nas przyjąć, ponieważ dostaliśmy „wilcze bilety”. W końcu zostaliśmy przyjęci we Wrocławiu.

A potem były zdjęcia i rozmowy indywidualne. Wielogodzinne spotkanie, które dało tyle

wzruszeń, zakończyło się ogólną prośbą, aby je powtórzyć już za dwa lata... Bo czas
nabrał dla nas wielkiego przyspieszenia.

Wiesław Krakowski

Fot. J. Zambrzycki